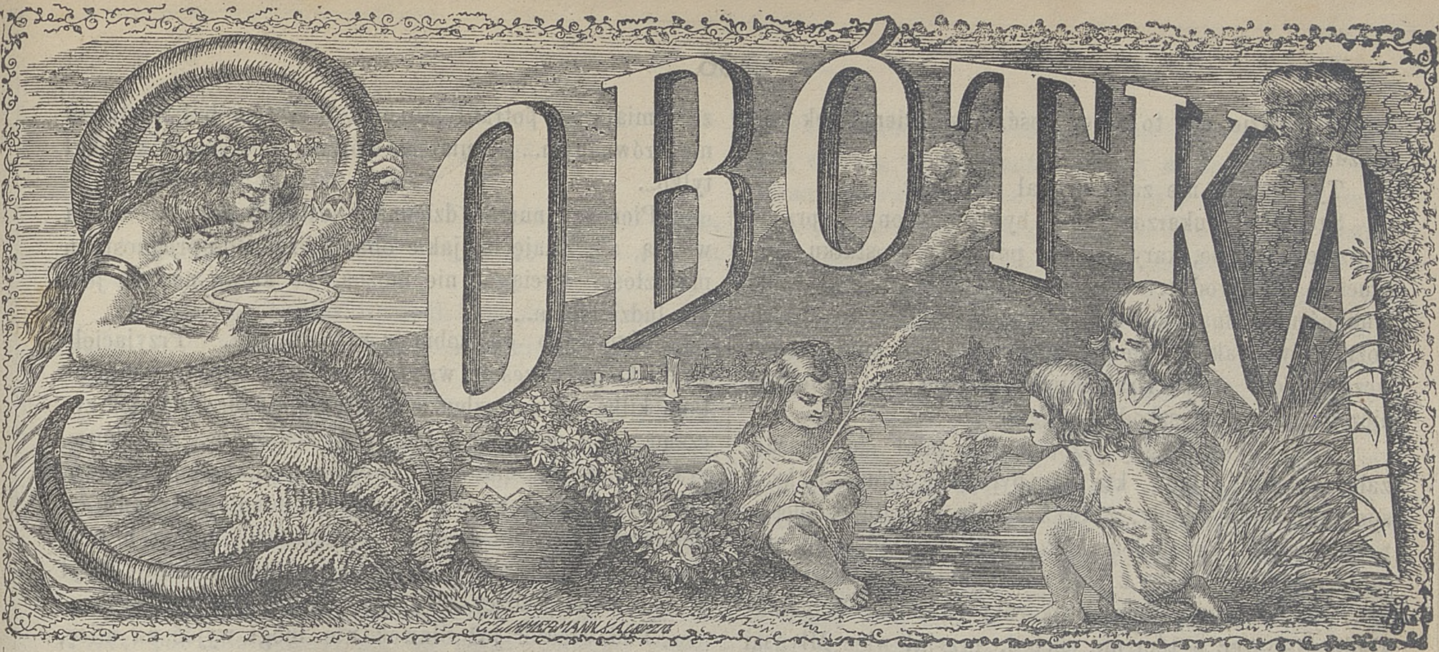


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 33. Poznań, dnia 14 Sierpnia 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Machnął ręką z jakimś wyrazem oznaczającym, że w tym przedmiocie rozprawiać dłużéj nie warto.

Młyński czekał na Sopoćkę we drzwiach kościoła po mszy rannéj — schwytał go na progu.

— Przepraszam pana za natręctwo moje, rzekł miałbym parę słów do pomówienia.

— Bardzo chętnie — rzekł grzecznie Sopoćko.

— Jako opiekun panny Heleny, miałbym przynajmniéj wiedzieć prawo, co się z nią stało?

— Opiekun? spytał Sopoćko — o żadném na seryo opiekuństwie nie wiem, bo ja, jako wuj rodzony, sam jeden opiekunem jéj jestem.

— Wiadomo panu, że gdyś pan ani o umierającéj matce jéj, ani o niéj nie wiedział, ja miałem przyjemność być im użytecznym...

— Tak! tak! dodał stary — ale jeśli się dobry uczynek popełni, czy koniecznie ma się potém o wypłatę z lichwą dopominać?

— Ale ja żadnéj wdzięczności nie żądam, zawołał Sławek — chcę wiedzieć, co się z nią stało. Nie należało mi się więcéj nad proste pożegnanie, ale to mi się należało...

— Nie wiem — odparł stary... to nie moja rzecz.

— Mógłbyś mnie przecie pan dobrodziéj objaśnić o jéj losie.

— Nie wiem, czy to się godzi i czy potrzebne.

— Ale jesteś pan uwiadomiony o nim.

— Spodziewam się! trochę szydersko odparł Sopoćko.

— Czy wyjechała z miasta...?

— Gdyby panna Prater była uznała właściwém dać o sobie wiadomość, zapewne by to uczyniła.

— Może nie mogła, rzekł gniewnie Sławek, wiemy o podobnych w imię świętobliwych intencyi popełnionych sekwestracyach... trafiało się to gdzieindziéj. Któż wie czy i tu co podobnego się nie stało... Mogliście użyć zwykłych narzędzi podstępu, kłamstwa i siły, wszakże u was cel uświęca środki.

— Co to jest u was? spytał Sopoćko...

— Domyśl się pan... rzekł Sławek i bierz, to jak chcesz.

— Ja tę maksymę, cel uświęca środku — oddaję na użytek rewolucyonistom, jest to ich broń przecie, nie nasza, nie moja... Żegnam pana!

— Do widzenia! spodziewam się! rzekł szydersko Sławek.

W ten sposób się rozeszli.

Nikomu przygody nieszczęśliwe Sławka, o których naturalnie wiele mówiono po mieście — nie przypadały lepiéj do smaku, jak zacnemu Drabickiemu, który ręce zacierał i oczkami mrugał, a po cichu przez swych rozesłańców powoli, postrachem wydatków, kosztów i daremnych zachodów usiłował odciągnąć obywateli, którzy się do nowego Dziennika byli przyłączyli.

Umiał on wybornie z czasu korzystać. Otwarcie od wystąpień w gazecie przeciwko rzeczy nie istniejącéj jeszcze powstrzymywał się, utrzymując bardzo trafnie, iż jéj by tém raczéj służył, mnożąc rozgłos, niżeli zaszkodził. —

— Będzie na to czasu dość, gdy dzienniczek się ukaże...

Tymczasem nie zaniedbywał nic.

Szepnięto drukarzowi, który był zamówiony, że przedsięwzięcie kruche, kary sądowe pewne, a w ostatku bankructwo niezawodne. Drukarz się uląkł, począł robić trudności i cofnął się ostatecznie. Drugi prasy takich rozmiarów, jakich dziennik wymagał, nie miał; trzeci wcześnie dał słowo Drabickiemu, że się nie podejmie niczego, coby mu szkodzić mogło.

Tak w chwili, gdy już dziennik miał się ukazać, zabrakło mu środków, kto inny byłby się cofnął, co krok spotykając przeszkody, Sławek z całą energią młodości, postanowił iść przebojem. Pożyczył pieniądze na majątek, dał lichwę, bo z niego nie zaniedbano korzystać — i zakładać się wziął drukarnią własną. Wspólnakładzcy słyszeć o tém nie chcieli, przyjął więc Młyński na siebie ryzyko i brnął dalej.

Ale do drukarni potrzeba było ludzi, a Drabicki umiał być popularnym, gdy tego potrzebował, miał swych ajentów we wszystkich klasach społeczeństwa... i każdemu z czułością szepnął sam lub przez swoich na ucho.

— Niech cię Bóg broni tam iść! To już dziś trupem pachnie! Miejsce stracisz, a za dwa miesiące wszystko się rozsypie. Po przyjacielsku życzę... dajcie pokój. To interes nie solidny....

Z największą trudnością przyszło zawerbować pijaków, robotników bez zajęcia i wybierki czeladzi...

Na tych drobnych codziennych walkach, do których mało kto znajdzie w sobie siłę potrzebną, bo powolnie wyczerpują, wysysają człowieka — nużył się, nękał Sławek. Ale od czegoż młodość! przeciwności są dla niéj bodźcem, są raczéj zachętą niż przeszkodą.

Mimo tych intryg, które co dzień mu się w różny sposób czuć dawały ze swą zaskórną robotą, niszczącą — drukarnia przepłacona, stanęła...

W walce téj Sławek zyskiwał tylko, że zapomniał przy pracy o tęsknocie za Leną, o ukąszeniach robactwa tego, co go pokątnie gryzło. Przyjaciele usłażni przynosili mu co dzień... krążące po mieście sarkazmy.,. Pierwszy numer obmyślany, wystylizowany, stokroć przemieniany... ukazał się nareszcie pełen drukarskich omyłek i młodzieńczych niezręczności.

Wstępny artykuł — program był pisanym lawą Etny i Wezuwiusza — Sławek wylał go z siebie w gorączce, był piękny, był poruszający... ale czuć w nim było ogień razem i niedoświadczenie wieku, który go dyktował.

W polityczne wiadomości, w krajową kronikę wcisnęły się z pospiechu usterki codzień trafiające się dziennikom; które były doskonałą gratką dla nieoszacowanego Drabickiego. Z jakim on zapałem pochwycił ten mokry arkusz drżącemi rękami — któż opisze! jak się trząsł z radości, notując czerwonym ołówkiem omyłki, jak poskoczył, znajdując niezręczną zaczepkę duchowieństwa, diatrybę przeciwko szlachcie zardzewiałéj i arystokracyi kosmopolitycznéj. Naturalnie występował zaraz w ich obronie...

Drabicki nie umiał pisać... ale wskazać swoim pisarkom słabizny, ale podyktować ukąszenie najzłośliwsze, pokrytą osobistość, aluzyą wściekłą a adeptom tylko zrozumiałą — potrafił jak nikt. W tém był mistrzem nieporównanym... Śmiał się żółto... i cichusio szepnął tylko...

Pierwszy numer dziennika jest zawsze ciekawością wielką, ale z zajęcia, jakie obudza, żadnego prognostyku przyszłości wyciągać nie można, bo każda nowość jest dla ludzi lepem...

Wyrywano go sobie z rąk do rąk. Przyjaciele Drabickiego wcześnie wskazali słabe miejsca, podłechtano kilka osób.. wzbudzono sztucznie oburzenie... okrzyczano nową publikacyą jako najczerwieńszą.. Prokurarya wprawdzie nie skonfiskowała pierwszego numeru, aby pismu na wstępie nie nadawać popularności, ale na denuncyacyach nie zbywało — Drabicki numer poznaczany wykrzyknikami i znakami zapytania sam złożył w ręce pana Radzcy..

Pod wieczór już Sławek nie mógł wyjść na ulicę, przyjaciele mu radzili, aby dał przejść burzy, nie narażając się na nią. W gazecie Drabickiego ukazał się tylko króciuchny artykuliczek pełen wykrzykników, ale zły, jak pies wściekły. Kąsał, nie szczekając, podnosił, uwydatniał, tłómaczył a w końcu witał uprzejmie nieszczęśliwą towarzyszkę, prorokując jéj zgon rychły.

Nie było czasu na lamenta, mimo widocznie fatalnego wrażenia pierwszego numeru, musiał on ukazać drugi. Nastąpiła narada nad tém, czy na zaczepkę odpowiedzieć. Sławek uznał, że nie należy. Inni mniéj dumni a żywiéj dotknięci prorokowali, że milczenie jak najgorzéj będzie przez publiczność przyjęte i tłómaczone... Stanęło wszakże na nic nie zważać i iść daléj...

Następne numera przeszły niemal cicho, Drabicki przycupnął, aby nie zwracać uwagi na współzawodnika. Niektóre Sławka artykuły podobały się — położenie wyjaśniać się nieco zaczęło... abonament... rosnął.

Było coś w nowém piśmie żywego, mówiącego za uczciwością i szczerością redakcyi, jakieś tchnienie szlachetne, którego żadną zręcznością wynaśladować nie podobna — obudzające w ludziach uczciwych współczucie.

Mimo omyłek i usterków, poważniejsi prorokowali pismu temu, jeśli przetrwa pierwsze burze, istnienie świetne i pożyteczne...

Drabicki, który po kawiarniach zbierał posłuchy, z tryumfującego wrócił trwożliwym do domu... Zawołał do siebie p. Izydora... byli sami... Stary żołnierz nieco podchmielony, szydersko spoglądał na swego wodza.

— No? co tam panie Redaktorze...

— Co?... co? źle.

— Jakto źle...

— Ale ja mam węch... źle... i będzie coraz gorzéj powiadam... to nie są żarty, Sławek nie jest bez talentu... ludzie są głupi... a ja jestem stary, a waćpan obojętny, choćby na głowę naszę sklepienie runąć miało...

— Myślisz? spytał szydersko Izydor...

— No, czemu nie radzisz?

— Radź sam.. jam tu nie do rady, tylko do roboty.. gdybym miał radzić, to bym powiedział, idź, sprzedaj gazetę swoję i pókiś cały umykaj z placu.

— Ale ba! pókim cały! Źle czy dobrze, ja się im przecież nie dam...

— No to się nie skarż.

— Na jutro napiszesz artykuł pochwalny, w tonie

humorystycznym, lekkim, pogardliwym, wszystko wynosząc, ale tak, żeby śmiertelnie wydrwić.

— To najmniejsza rzecz...

— A więcéj nic — dodał Drabicki... ja już wiem, jak postąpię... ale nagle nie mogę... nie mogę... trzeba poczekać...

Artykuł pochwalny wyszedł, ale się nie udał, był słaby, czuć w nim było nieszczerość, złość... brak przekonań...

Daleko skuteczniéj działał Drabicki żywém słowem po szynczkach, po restauracyach i na zgromadzeniach, do których go przypuszczano, bo wszędzie potrafił się wcisnąć jeśli nie jako prezes, to jako członek...

Szło sobie pomalutku, cicho, ale skutecznie... We dwa tygodnie po wyjściu pierwszych numerów, Sławka poznać nie było można, tak wychudł, zbladł, zestarzał. Przez pół dnia ogniem mu się paliły policzki, potém nabierały marmurowéj bladości... Wieczorami kaszleć zaczynał, ale cygaro mocne tłumiło tę nerwową, drażliwość. Pochłonięty pracą nad siły, pożerany chęcią wystarczenia wszystkiemu — Sławek się powoli zabijał. Dobijano go też zewsząd, bardzo umiejętnie, dopomagając do tego.

Z pięciu listów co dzień przynajmniéj trzy przychodziły anonymy. Znacie czytelnicy tę broń sztyletników, która się listem bezimiennym zowie.

W piśmie takiém można powiedzieć wszystko bezkarnie, zbezcześcić matkę, rzucić plamy na rodzinę, zasiać nieufność wśród familii, szafować potwarzą i nie żałować obelg najkarczemniejszych, od perfumowanego anonymu pisanego złotém piórkiem na palisandrowém biurku, woniejącego patchulą, zapieczętowanego francuską dewizą, aż do brudnéj szmaty na papierze od świec, pisanéj szuwaksem i zapieczętowanéj groszakiem, a śmierdzącéj tytuniem i wódką. Ten, co to pisze, zna wszystkie rodzaje ich, bo je przebolał, bo je zebrał na pamiątkę boju. Nic podlejszego wystawić sobie nie można nad zbiór anonymów, ale nic ciekawszego nad taką dwudziestoletnią kollekcyą! W przeciągu dwóch tygodni Sławek mógł się pochlubić też sporą kupką groźb, łajań, szyderstw... krytyk bez sensu i napaści pełnych jadu... Ale był młodym i to policzkowanie ręką niewidomą, w ciemnościach, krew w nim burzyło — kipiał. Darł w kawałki i deptał te brudy, a zapomnieć o nich nie mógł.

Czasem słowo bolesne wpiło mu się w pierś i tkwiło w niéj długo, a rana po nim zostawała nie zgojoną... a trzeba było milczeć i nie dzielić się tą chłostą z nikim, bo któżby się z tego nie uśmiechnął obcy?... Z cudzéj boleści najserdeczniejsi przyjaciele po troszę tryumfują — a cóż? nie mówiłemże? nie przestrzegałem go? Wlazł? niech siedzi.

I przyjaciel odchodzi uszczęśliwiony, że ta strzała nie w nim utkwiła...

Współczucia w ludziach... trudno znaleźć — a litość to jałmużna upokarzająca. W dodatku u nas wszystko, co zakrawa na wyraz ogólnéj opinii, choć by było najnierczsądniejszém, przestrasza ludzi pospolitych tak, że rodzonego ojca dla bałamutnego strachu onego odstąpić gotowi. Nie raz téż i matki rodzonéj dlań się wyrzekli!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kolonizacya przemysłu na Szląsku.

(Z ryciną.)

Kiedym wracał z Pragi czeskiéj w miłém towarzystwie mego przyjaciela przez góry szląskie, zatrzymaliśmy się kilka dni w Warmbrunn, ażeby odwiedzić znajome nam osoby tamże bawiące. Mieliśmy wracać przez Wrocław ku domowi, ale mój towarzysz, który prawie co rok udaje się w szląskie góry i lubi zwiedzać nieliczne już, bo zębem czasu niszczone, pamiątki po dawniejszych księciach piastowskich, przypomniał sobie, iż mu w Pradze powiadano, że w okolicy Warmbrunn znajduje się pośród gór, tuż przy miasteczku Laehn, interesująca ruina po starym zamku, w którym często przebywać miała św. Jadwiga. Chcąc zwiedzić tę pamiątkę, udaliśmy się do Laehn i zwiedziliśmy istotnie wspaniałą ruinę, położoną na szczycie góry. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że zamek ten już był w XI wieku zbudowany, że przez długi czas w średnich wiekach zamieszkiwali go książęta piastowscy, i że został ruiną dopiero w r. 1646, gdy po ustąpieniu z niego załogi szwedzkiéj kazał go spalić generalissimus wojsk cesarza austryackiego, Montecuculi. Obejrzawszy sobie ruiny starego zamczyska, spuściliśmy się z gór ku miastu romantycznie położonemu nad brzegami niegdyś słowiańskiéj rzeki Bobru.

Miasto było piękne, czyste, nowo zbudowane, ruch w niém żywy, jak w każdém mieście, gdzie są zakłady przemysłowe. Uderzyło mię, że między niższą klasą, w robotnicze bluzy przybraną, odzywały się dość często skażone dźwięki mowy polskiéj. Mój towarzysz, który, tę okolicę znał dość dobrze, widząc moje zadziwienie— To ziemia słowiańska, polska, — przemówił — większa część ludu, jak słyszysz, — jest polską i mówi po polsku, ale miasto jest niemieckie. Przewaga nowego życia ruguje żywioł tubylców, żywioł polski, a gdzie go do szczętu wyrugować nie może, tam się nim posługuje, jak się posługuje koniem, wołem, parową maszyną.

Rozpoczęliśmy rozmowę o historyi Szląska, o napływie niemczyzny, o wymieraniu żywiołu polskiego, o przyczynach i powodach, dla czego się jedna narodowość rozszerza a druga upada.

— Miasteczko, które widzisz przed sobą — mówił mój towarzysz — nosiło jeszcze przed 20 laty na sobie wszelkie cechy miast starych, średniowiecznych, a ludnością swoją przypominało bardzo, że było zbudowane na gruncie słowiańskim. Dziś wszystko zatarte, przemysł niemiecki, który tu w krótkim czasie wzrósł, nie pozostawił prawie kamienia na kamieniu po dawniejszéj przeszłości. Przed rokiem 1850 miasto Laehn liczyło zaledwie 1200 dusz, ludność, jak w okolicach górzystych, gdzie rola mało przynosi a przemysłu nie ma żadnego, pędziła żywot dość lichy. Roku 1850 przybył dotąd z Halli niejaki Eppner, zegarmistrz, z zamiarem założenia obszerniejszéj fabryki. Było to zadanie wcale nie małe i nie łatwe, ile że prywatne fundusze Eppnera były szczupłe a konkurencya z wyrobami szwajcarskiemi, które prawie całe zalewały Niemcy, była i wielka i trudna do pokonania. Ale o przedsięwzięciu Eppnera dowiedział się dość rychło rząd, uznał potrzebę popierania go, bo widział w tém najlepszy środek kolonizowania na Szląsku przemysłu niemieckiego, a tém samém nie-



Miasto Lachn nad Bobrem.

mieckiéj ludności. Już w samych początkach przedsięwzięcia król pruski, Wilhelm IV, ofiarował Eppnerowi z własnéj szkatuły 3000 tal. jako pożyczkę bez opłaty procentów za wstawieniem się radzcy rejencyjnego Minutolego. Owczesny zaś minister skarbu, von der Heydt, zaopatrzył zakład Eppnera w najpotrzebniejsze maszyny i narzędzia dla 100 robotników, za co Eppner zapłacił — razem 30 talarów, z tym jednak warunkiem, że w ciągu trzech lat przyjmie w naukę 100 młodych ludzi. Zamiarem rządu było, ażeby ludność okoliczna zajmująca się małodonośném płóciennictwém i tkactwem, przyswoiła sobie jeden więcéj sposób zarobkowania i aby zwolna zakwitł na tém miejscu przemysł w Prusach mało pielęgnowany. Zakład rozwijał się zwolna, a król dowiedziawszy się o przedsiębiorczości i skrzętności Eppnera, pożyczył mu w krótkim czasie drugie 3000 talarów. Zakład wzrastał i wyszedł niezadługo na wielką fabrykę, któradostarczała wyrobnictwu zegarków w Niemczech znaczny zapas pojedyńczych części, w skład zegarków wchodzących, początkowo bowiem sama zegarków nie wyrabiała. Firma Eppnera zaczęła być coraz głośniejszą w handlu, fabryki szwajcarskie zaczęły jéj utrudniać sprzedaż swoją konkurencyą, któréj zakład Eppnera przy szczupłych funduszach sprostać nie mógł, ile że Szwajcarowie umieli rozmaitemi sposobami puszczać w handel swoje wyroby i przeszkadzać liczniejszemu pokupowi wyrobów szląskich. Uznając te trudności handlowéj konkurencyi, minister Massow wyjednał od króla dla Eppnera trzecią pożyczkę bezprocentową w ilości 3000 tal. i utworzył towarzystwo z znaczniejszych przemysłowców niemieckich, prowadzących handel zegarkami, ażeby zakupnarobili nie z obcymi, ale tylko z swoimi i wyroby zegarmistrzowskie zakupywali głównie z fabryki Eppnera.

Wzajemna umowa kupców skutkowała; wyroby fabryki Eppnera znalazły pokup w całym Związku Celnym Niemiec, tak że fabrykę można było rozszerzyć i już w 1856 r. gotowe z niéj wysyłać zegarki. Po śmierci ministra Massowa, książę na Raciborzu stanął na czele stowarzyszenia kupców, a gdy fabryka każdego roku coraz pomyślniéj się rozwijała, rząd dał r. 1862 fundusze ze skarbu publicznego na utrzymanie szkoły przemysłowéj, w któréj się w dwuletnim kursie kształcą młodzi zegarmistrze. Ludność okoliczna korzysta bardzo chętnie z téj szkoły i niejeden chłopiec polskiego pochodzenia zapoznaje się w niéj z niemieckim przemysłem i niemieckiemi obyczajami. Miasto wzrasta w miarę rozwoju przemysłu, który — jak wszędzie indziéj, jak i u nas w Księstwie Poznańskiém i w Prusach Zachodnich, przeobraża dawne, zaprowadza nowe stósunki i nowych kolonizuje ludzi. R. L.

O Unii Lubelskiéj

napisał

Wincenty Sarnecki.

(Ciąg dalszy.)

Stojąc nad spełnioną Unią dwóch narodów, różniących się w swym związku pochodzeniem, wiarą, obyczajami, ustrojem politycznym, nie możemy powstrzymać się w zdziwieniu w obec szczytnego faktu. Łączą się i łączyły się od wieków narody bądź wspólnością dynastyi, bądź wspólnością interesów, jak w traktatach odpornych lub zaczepnych przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, i związki te mały i chwile szczęścia i dni chwały i gromiły swą siłą najezdniczą przemoc — ale interes przeszedł, nieprzyjaciel został odparty, a ludy powracały do pierwotnego, odrębnego bytu. Jeżeli zapatrujemy się na związek Polski z Litwą, te same objawy na pierwszy rzut oka widzimy, też same skutki co i u innych narodów sprowadzają traktaty i ten wspólny cel łączy narody. Litwa zagrożona ze Wschodu zaborczym duchem Moskwy, co już w kolebce swego istnienia żył tylko na zewnątrz i pożądliwém okiem spoglądał na sąsiadów — z północo-zachodu trapiona najazdami krzyżackiemi i powodzią germanizmu, rozglądała się w około siebie, gdzieby znaleść pomoc. Krzyżacy, nieśmiertelni wrodzy Polski, samém istnieniem pomagają państwu, nad którego zgubą od wieków pracowali. Wspólność interesu łączy Polskę i Litwę. I walczą zastępy Gedyminów z Łokietkowemi i utrwalają się związki miłością, małżeństwem Kazimierza z Aldoną. Ten sam napływ germanizmu do Polski i Litwy łączy wspólnością obrony dwa narody za Jagiełły i naprowadza na siebie klęskę pod Grunwaldem. Zapytujemy się tedy, cóż było ową siłą wiążącą dwa narody? Skoro inne ludy pod wpływem tych okoliczności rozpierzchły się i szły każdy własną drogą, a związek Polski z Litwą przetrwał do naszych czasów to — da Bóg przetrwa i na wieki!

Nie siła materyalna, nie wspólność interesu i korzyści, bo te względy przeważały i gdzie indziéj siłą łączącą dwa narody na wieki było pokrewieństwo ducha. Polska wprowadza do Litwy chrześcijaństwo z ślubem Jadwigi z Jagiełłą i ujednostajnia się z nią wiarą rzymskiego obrządku; Polska wyprowadza Litwę z stanu barbarzyństwa i pogaństwa, nadaje jéj ustawy społeczne, zgodne z cywilizacyą, postępem, ujednostajnione z polskim ustrojem społecznym, a przez Litwę chętnie przyjmowane jako dotykalnie polepszające jéj byt. Polska nie torowała sobie drogi na Litwę drogą gwałtu, przemocy, siły, zaboru, lecz wolnością i swobodą. Oto jest tajemnica związku. Polska podnosiła Litwę moralnie, stawała się dla niéj matką, a dorosłéj stała się siostrą. I spotkały się ramiona dwóch ludów i wieniec nieśmiertelnego bluszczu okolił ich czoła — zrosły się miłością, wspólną dolą i niedolą, zrosły się cierpieniem i znów wieniec myrtowy okolił ich czoła, ale już na zawsze, na wieki, bo cierpienie siłę rodzi. To też mimo gwałtów przemocy obcéj nic tego związku rozerwać nie zdoła, przeciwnie w miarę ucisku wzrasta miłość, wspólność nadziei, tchnienie przyszłości ożywia dwa narody. Cóż za korzyści ma dziś Litwa ze związku z Polską? Polska sama biedna nic dać nie może — sama żyje cierpieniem i cierpieniem swych braci darzyć może. A jednakże pierwotny związek w dawnéj sile stoi. Odzywają się wprawdzie głosy renegatów na Rusi, po wspólném przeżyciu kilkowiekowém podnosi głowę hydra niezgody. Ale jestto głos tylko chwilowy, nie powstał on sam o własnéj sile, nie jest on samodzielną myślą narodową, ale powstał za podmuchem obcych intrygantów, moskiewskich płatnych propagatortów panslawizmu — chwilowe odurzenia nic więcéj. Człowiek skłonniejszy jest z natury do dobrego, aniżeli do złego, a prawdę tych słów zacierają tylko wpływy zewnętrzne, gdyby bowiem było przeciwnie, czyż społeczeństwo albo ludzkość cała ostaćby się mogła? Społeczeństwo składa się z jednostek, z natury swéj musi więc być dobrém, skoro istnieje. Ruś wykarmiona i wykołysana na łonie Polski, Ruś ogrzana ciepłem piersi matczynéj, nie będzie synem wyrodnym — byłoby to dziecię, co kąsa piersi matki, których pokarmem żyje — żmija, co przyszła do życia obcém ciepłem i pierś kąsa. Przyjdzie chwila, gdzie pazur ukryty Moskwy barbarzyńskiéj wychyli się z obsłon panslawizmu i powróci nam zbłąkanych naszych braci.

Jeżeli tedynie siłą materyalną ale przesyceniem, wolnością, że tak ię wyrażę, powstała Unia, co na wieki pokrewieństwem ducha, odrębną i oryginalną, samodzielną polityką polską związała dwa narody, to zaiste dumni być powinniśmy aktem Unii Lubelskiéj. Akt

ten jest wiekopomną sławą narodu polskiego. To też zadrgała pierś żywiéj przy zbliżaniu się 300 letniego obchodu, i zwróciły się ku sobie oczy braci i serce zapragnęło wznowienia uroczystego obchodu ojców naszych. Ale odebrano nam dziedzictwo ojców naszych, Lublin, świadek roku 1569 miłości dwóch narodów związanych wolnością, patrzy teraz na żołdaków moskiewskich i gwałty czynowników cara.

I płacze lud Polski i płacze lud Litewski, jak płakał ród Izraela nad zburzoną Jerozolimą. Nie w Lublinie obchodzić nam dzisiaj zaślubiny narodów — ale czyż miejscowość może zmniejszyć siłę związku spotężnionego wiekami? serce Polskie i litewskie w każdém miejscu jedném uczuciem drgać będzie — uczuciem miłości. To też stósując się do konieczności wybrano za miejsce obchodu Lwów — biedni my i tu nam wzbroniono! Komitet na czele z panem Smolką, wijąc się wśród ostateczności, ograniczyli obchód Unii do najmożliwszéj skromności — cała pompa właściwa świętemu związkowi naszemu odjętą zostanie, ale my tém bardziéj w sercach naszych, w duchu, powinniśmy rozważać drogą naszą chwilę dziejową. Rozpamiętywaniem dziejów naszych, odnoszących się do tego wypadku, powinniśmy zahartować się w naszéj niedoli. W tym celu będę się starał wykazać drogę po któréj dwa narody postępując, zeszły się z sobą. Nie od razu bowiem Polska i Litwa stanęły obok siebie bratnie, hulały najazdy litewskie po ziemiach polskich, skoro po 24000 jeńców Litwa mogła zwracać Koronie. Tém ciekawszy obraz stósunków między Litwą, Polską i Rusią, im większe odrębności i antagonizm tkwił u tych narodów. W rozbiorze tym poznamy, jaką bronią czyniła Polska zabory w głębiach Polski i Rusi — że nie pożogą i mordami, ale miłością i swobodą.

Przystępując do opisania stósunków między Polską, Litwą i Rusią, do wykazania dróg, któremi te trzy kraje w postępie dziejowym zeszły się z sobą, starać się będziemy podnieść główniejsze punkta zejść, co niby słupy milowe oznaczają nam wiekowe stadya téj drogi. Dla łatwiejszego objęcia przedmiotu podzielimy te dzieje na trzy wielkie okresy, dzieląc nie według fantazyi, ale tak jak w łonie wieków wyrobiły się same przez się. Wprawdzie w dziejach ludzkości nie ma podziałów, nieskończoność, ciągłość, to jéj cecha, nić wiążąca wieki nie ulega przerwie, tuż po przyczynie następuje skutek, który ze swéj strony jako nowa przyczyna sprowadza szereg wypadków. Ale są w dziejach chwile, które historyka najpierwéj uderzają w oczy, są to wybitne swoją doniosłością wypadki, które tworzą jednolity charakter całéj następującéj epoki.

Polanie Nadnieprscy pod panowaniem Rusów i Tatarów, wydobycie ich z pod jarzma obcego przez współplemieńców Polan z nad Wisły, liberalne rządy Kazimierza Wielkiego, obrona krwią polską ziemi nad Bugiem Sanem, Dniestrem i Dnieprem przed najazdem dziczy, jéj umoralnienie i uzupełnienie, to już jeden wielki dział dziejów wpływu polskiego na Rusi.

Litwa bałwochwalcza, śluby Jadwigi z Jagiełłą, połączenie z Polską to drugi dział.

W trzecim roździale, którym zakończymy naszę pracę, wykażemy środki, któremi Polska upodobniała sobie Litwę, raz wiarą a drugi raz ustawami społecznemi. Historya bardziéj skryta, aniżeli poprzednia, bo odbywa się w łonie ducha narodów, powolna w stósunku do wielkości przeobrażeń, które sprowadza. (Ciąg dal. nast.)

Klasztory w Poznaniu.

(Dokończenie.)

Jezuici wprowadzeni zostali do Poznania roku 1571 przez biskupa Adama Konarskiego. Kamień węgielny pod kościół jezuicki, — obecną farę, położono 15 maja 1651 roku, budował go Bartłomiéj Wąsowicz pod kierownictwem Jezuitów samych. Obok kościoła rozpoczęto dość rychło budowę kollegium, któréj dokonano w roku 1733. Było to najwspanialsze kollegium na całą Polskę.

Jezuici zajmowali się wychowaniem młodzieży szlacheckiéj, pielęgnowali nauki, sztuki piękne i przemysł. Ich wpływ na wychowanie młodzieży, a więc i na losy kraju naszego, był nadzwyczaj wielki, jedyny, mianowicie od czasu, jak za nędznych rządów Zygmunta III zaczął upadać uniwersytet Jagielloński. Całe wykształcenie w XVII wieku i w pierwszéj połowie następnego zawdzięczała Polska Jezuitom, a zawdzięczała im w tym względzie wszystko: dobre i złe. Żaden zakład naukowy w Polsce nie był może tak bogato uposażony w środki wykształcenia młodzieży, jak kollegium jezuickie w Poznaniu. Posiadało ono wspaniałą bibliotekę, obserwatoryum astronomiczne na wysokiéj wieży, któréj część dla bezpieczeństwa zniesiono roku 1785, gabinet astronomiczny, fizykalny, zbiory zoologiczne, botaniczne, minerałów i aptekę. W roku 1639 sprowadzili z Luzacyi Wolraba, który za ich fundusze założył wielką jak na owe czasy drukarnię. — Zakon Jezuitów liczył 70 księży i wielką liczbę braciszków. Gdy w roku 1773 Jezuici zostali zniesieni, zamieniono roku 1780 kollegium na szkołę narodową, w roku 1795 po ostatnim rozbiorze Polski przeszło na własność rządu pruskiego.

Karmelici bosi zbudowali sobie kościół z klasztorem roku 1616. Po zaborze kraju kościół przeszedł na użytek gminy ewanielickiéj w Poznaniu, a w r. 1831 zamieniano go na kościół wojskowy.

Franciszkanie otrzymali przywiléj zbudowania kościoła z klasztorem roku 1643, ale przeciw ich osiedleniu wystąpiły inne zakony z taką niechęcią, że początkowo osieść musieli przy kościele św. Rocha na Miasteczku. Dopiero roku 1664 gwardyan Zawadzki otrzymał pozwolenie zbudowania klasztoru na lewym brzegu Warty, na Podgórzu, blisko zamku. W roku 1838 oddano kościół pofranciszkański niemieckiéj gminie katolickiéj.

Kościół Reformatów z klasztorem zbudował biskup poznański Tolibowski roku 1657. W roku 1804 zamieniono klasztor na seminaryum nauczycielskie, a w roku 1837 dobudowano do niego zakład głuchoniemych.

Z zakonów żeńskich najrychléj wprowadzono do Poznania Dominikanki, bo już w roku 1283 za Przemysława II. Miały one kościół z klasztorem na ulicy Wronieckiéj, w sąsiedztwie klasztoru dominikańskiego.

Bernardynki zbudowały sobie kościół z klasztorem obok kościoła Bernardynów roku 1472. W roku 1821 klasztor zamieniono na lazaret i oddano go Siostrom Miłosierdzia, tak zwanym Szaretkom. Zakon ten powstał w pierwszéj połowie XVII wieku w Francyi i powziął sobie za zadanie nieść pomoc i ulgę ubóstwu i pielęgnować chorych. Zakład Sióstr Miłosierdzia stoi pod bezpośrednim zarządem poznańskiéj rejencyi i utrzymuje się częścią z dawniejszych funduszów klasztoru, częścią z jałmużny publicznéj dobroczynności, częścią z prywatnéj opłaty pielęgnowanych chorych. Lazaret sam pozostaje pod kierownictwem lekarzy dr. Mateckiego i dr. Sękkiego, jest bardzo praktycznie i dogodnie urządzony, na wzór klinik uniwersyteckich. Usłużność i gorliwość Sióstr Miłosierdzia w pielęgnowaniu chorych zasługuje na ogólne uznanie i uwielbienie; to też nic dziwnego, że zakład Sióstr Miłosierdzia cieszy się aż nadto zasłużonym szacunkiem i wdzięcznością całego Księstwa Poznańskiego.

Szlachetne poświęcenie i prawdziwa zasługa zyskuje zawsze nagrodę w obec nieba, uznanie w obec świata.

Benedyktynki mieszkały od roku 1609 w dawniejszym pałacu znanéj rodziny wielkopolskiéj Górków na rogu Wodnéj i Jezuickiéj ulicy. W r. 1836 urządzono w pomieszkaniach klasztornych szkołę dla dziewcząt.

Karmelitanki bose czyli Tereski wprowadziła do Poznania r. 1667 królowa Marya Ludwika, żona Jana Kazimierza. Zakon Karmelitów miał założyć prorok Eliasz na górze Karmel. W r. 1452 jenerał zakonu, Jan Chrzciciel Soreth, przepisał regułę dla Karmelitanek, i wyjednał dla niéj zatwierdzenie od papieża Mikołaja V. Św. Teresa, Hiszpanka, rodem z Cepedy, oddana na wychowanie do klasztoru Karmelitanek w Avila, widząc u nich rozprzężenie reguły zakonnéj, postanowiła zaprowadzić reformę i dokonawszy jéj mimo największych przeszkód, stała się założycielką Karmelitanek bosych, które przez wdzięczność dla swéj założycielki nazywały się równocześnie Tereskami. Klasztoru Karmelitanek bosych w Poznaniu przez rząd dość rychło zniesionego, zamieniono część na lazaret miejski, część zaś na lombard miejski. Ks. Arcybiskup Ledóchowski zaprowadził w Poznaniu ponownie Karmelitanki bose i umieścił je tymczasowo na Zagórzu, zanim zbuduje się dla nich klasztór, na który zbierano publiczne składki.

Oprócz powyższych zakonów żeńskich znajdują się w Poznaniu dwie jeszcze kongregacye zakonne: Urszulanek i Sercanek, które się zajmują wychowaniem młodzieży płci żeńskiéj. K.

Olbrzymia kolej w Stanach Zjednoczonych.

(Dokończenie.)

Wszystkie Stany Unii były reprezentowane przez dyrektorów, rozmaitych wysokich urzędników; wszelkie znakomitości Wschodu i Zachodu Północnéj Rzeczypospolitéj przybyły, a nawet i dwóch mormońskich biskupów.

Rozliczne zewsząd przysłano podarki i upominki, by uświetnić dokończenie olbrzymiego dzieła. Newada darowała gwóźdź srebrny, Arizo a gwóźdź ulany z żelaza, srebra i złota, z kopalni Kalifornii nadesłano ostatnie belki wraz z gwoździem złotym, którym ostatnią szynę umocowano. Kiedy Chińczycy ostatnią przynieśli kalifornską belkę na miejsce dla niéj przeznaczone, kilku robotników Towarzystwa Unijnego złożyło na nią ostatnią szynę, a około południa przybito ostatni gwóźdź złoty. W nieprzejrzanym tłumie zgromadzonych z wszech stron Stanów Zjednoczonych wielka panowała radość. Radość tę cała dzieliła Ameryka, o tym samym czasie i w téj saméj niemal chwili. Srebrny młot bowiem, co ostatni złoty gwóźdź w ostatnią wbijał belkę, stał w związku z drutem telegraficznym, który lotem błyskawicy na wszystkie strony Ameryki roznosił upragnioną wiadomość o ukończeniu olbrzymiego dzieła.

Nigdzie nie szczędzono ofiar i kosztów, by pamiętny ten dzień jak najgodniéj, jak najuroczyściéj uświęcić. Zrękowiny te Zachodu Stanów Zjednoczonych z Wschodem cały Wschód obchodził jak najświetniéj w tém mocném przekonaniu, że odtąd nowa dla Ameryki rozpoczęła się era. To téż nie dziw, że wszystkie większe miasta wystąpiły z całym przepychem, z całą okazałością. Najwspanialéj wystąpiło Chicago, któremuz powodu portu tak szczęśliwie położonego nad Oceanem Spokojnym otwiera się świetna przyszłość handlowa.

Miasto San-Francisco obchodziło uroczystość tę nie mniéj świetnie. Skoro jutrzenka poranne dnia zwiastowała blaski, strzały ze stu dział na pobliskiéj wyspie Alkatraz, tuż pod miastem, pobudziły śpiących mieszkańców. Jeszcze słońce całéj swéj ognistéj nie wychyliło twarzy, a już tysiące ciekawego ludu napełniały ulice miasta. Miasto w świąteczną przybrane było szatę, z dachów i okien powiewały chorągwie. Około jedenastéj godziny zpołudnia naraz wszystkie odezwały się dzwony. Wyprawiano zabawę ludową, oprowadzając po ulicach Mammuta. Wspaniały to był widok, mianowicie gdy pochód posuwał się zwolna przez ulicę Montgomery. Z okien tysiące widzów spoglądało na przechodzące tłumy, tysiączne chorągwie witały ich symbolicznemi obrazami. Wszystkie stany, wszystkie stowarzyszenia, miasta były reprezentowane. Chorągwie za chorągwiami, kapele za kapelami się przesuwały, a białe rączki pięknych Amerykanek obsypywały przechodniów bukietami. Z towarzyszeniem muzyki toczył się poważnie pochód Mammuta przez główniejsze ulice; turkot i łoskot lokomotywy przez dwadzieścia koni ciągnionéj mięszał się z świstem przeraźliwym parowych sikawek. Gdy pochód zatrzymał się przed jednym z gmachów publicznych, odśpiewano przy towarzyszeniu 350 instrumentów hymn narodowy, poczém nastąpiły deklamacye poezyi narodowych, ody i liczne mowy podnoszące sławę Stanów Zjednoczonych.

Gdy słońce zaszło, oświecono miasto rzęsistemi światłami.

Mieszkańcy San-Francisco wiedzieli dobrze, dla czego dzień ten uroczyście obchodzili, wiedzieli, czemu się cieszyli, nad czém się radowali, dla czego narodowe śpiewali hymny. Odtąd zostało San-Francisco połączone z krajami wschodniemi Unii, z Nowym Yorkiem, a tem samem i z Europą. Dotychczas i europejski wędrownik, pragnąc stanąć w San-Fracisco, musiał robić daleką podróż dokoła ponad brzegami południowéj Ameryki; dziś przybywszy do Nowego Yorku, w kilkadziesiąt godzin stanie na zachodniém Ameryki wybrzeżu. Dziś przez całą szerokość północnéj Ameryki, ponad krawędziami ogromnych przepaści, przez pustyń i stepów obszary, ponad szumiącemi strumieniami, przez wnętrza skał i gór, z łoskotem warcząca pędzi lokomotywa, ciągnąc za sobą obładowane wagony, niosąc ożywcze cywilizacyi światło w kraje, które przed niedawnym jeszcze czasem zdawały się być dla kultury niedostępne, hermetycznie zamknięte. Jako przekopanie kanału Suezkiego zbliży nam Austryą i Azyą, tak samo San-Francisco zbliżone zostało z Wschodem Unii i z Europą. To téż miastu temu wielka, piękna uśmiecha się przyszłość. Jeśli dotychczas do Chin i Japonii co miesiąc tylko z San-Francisco wysełano okręty, to od dnia 10 maja liczniejsze okręty i w krótszym jak dotąd czasie będą odwiedzały te kraje.

Czém dla starożytności było morze Śródziemne, po którém krążyły okręta Kartagińczyków, Fenicyan, Greków, Rzymian, tém jest w dzisiejszych czasach szeroki Atlantyk i tém samém być poczyna i będzie Ocean Spokojny.

Koléj ta olbrzymia jest pod względem handlowym, pod względem cywilizacyi ogromnéj doniosłości — jest dziełem, które nowy wiekowi dziewiętnastemu przynosi zaszczyt, nowe widoki, nowe nadzieje! Dzieło, które i na nasze europejskie stósunki wpływ wywierać będzie, zawdzięczamy Amerykanom, ich silnéj woli, ich żelaznéj wytrwałości. Im śmielsza była ich chęć dokonania wiekopomnego dzieła, tém większego godna podziwu niczém nieugięta energia, powolna, ale za to nieustająca praca mrówcza, wcale różna od nagłych, gorączkowych porywów i zapałów stygnących i ustawających za lada trudem, rzadka wreście solidarność w przedsięwzięciu.

To téż z zasłużoną dumą spoglądać może Ameryka na świeże swoje dzieło pracy zbiorowéj, która będzie chlubnie świadczyła o ich wytrwałości. G. B.

ROZMAITOŚCI.

Testament złotego młodzieńca.

Na pierwszym piętrze hotelu — elegancki apartament. Wszystko tam jest co potrzeba... ażeby żyć, jak nie potrzeba.

Pewien pan przechodzi się wielkiemi krokami po sypialnym pokoju. Panicz ten po kilkakrotnych przeciągnięciach ręką po czole, wydobywszy z kieszeni zwit zapisanych papierów, który każdy stemplem był udekorowany, skierował się nareszcie do biórka, wyjął z niego parę pistoletów, położył je na stole, usiadł, wziął pióro i napisał co następuje:

„Oto jest mój testament:

„Ponieważ nic nie zostawiam w spuściznie tylko długi, przeto dziwném może się zdawać tym, co znajdą ten papier, iż uważałem za potrzebne przed odebraniem sobie życia, zostawić przedśmiertne post scriptum.

„Wyznaję, iż w pierwszéj chwili sam zdziwiony byłem mojém postanowieniem, lecz głębiéj rzecz zważywszy, spostrzegłem, że mogę zostawić w spadku coś lepszego, niż niezapłacone weksle.

„To coś, jest doświadczenie nabyte w ciągu mego krótkiego życia, życia, które w niejednym głupcu zazdrość budziło a do którego dają się wciągnąć nawet ludzie dowcipni, niekiedy rozumni. Gdybym wam powiedział, że mogłem się zaliczać do téj drugiéj kategoryi, posądzilibyście mnie o próżność, lecz po ścisłym obrachunku, nie mógłem należeć też do pierwszych, jak to sami osądzicie.

„Miałem lat dwadzieścia (jest temu 18 miesięcy), miałem tedy 20 lat, majątek z dwókroć sto tysięcy dobrze ulokowanych, stósunki i pozycyę towarzyską, zgoła wszystkie warunki, aby pójść zwyczajną drogą pracy, zasługi, wiodącą do prawdziwego szczęścia. I byłbym trafił do celu, gdybym nie spotkał na téj drodze kamyka, mogącego wyrzucić z szyn cały pociąg wagonów. Tym kamykiem była Magdusia — imię samo za siebie mówiące.

„O wy, którym ten papier wpadnie w ręce, nie lękajcie się, abym wam kazał przeczytać kompletną biografią życia mojego przez te ośmnaście miesięcy, co tém więcéj zajęłoby miejsca, im były bardziéj czcze i boleśniejsze.

„Jak to już miałem honor nadmienić, posiadałem zdolności średnie, a stałem się teraz niedołęgą, kretynem. Mój dowcip ogranicza się na żargonie francuskim. Moja kość pacierzowa była prosta i dobrze uorganizowana. Natura okazała się dla mnie dobrą matką. Teraz zacząłem garbacieć jak staruszek i z twarzą wymoczka kaszlę, jak suchotnik.

„Ożywiały mnie szlachetne uczucia. Niegdyś, kiedy usłyszałem wyrazy: przyjaźń, miłość, krew żywiéj biła mi do serca, teraz są one dla mnie cudzoziemskiém narzeczem.

„Mój żołądek zawstydziłby strusie afrykańskie, obecnie nie trawię, skoro, zjem i dla tego już nie jem, z obawy niestrawności.

„Wierzyłem w przyjaźń. Ta wiara kosztowała mnie czwartą część majątku, załączony tu rachunek wskaże szczegóły wydatków.

„Wierzyłem w miłość. Drugi ten rozdział kosztował mnie więcéj niż poprzedzający. Niepodobna złożyć z tego rachunku, gdyż byłoby to samo, co wyliczyć mnóstwo imion baletniczek, lub wymieniać litanie balów, pikników, przejażdżek itd. Wszystkie, które pracowały nad zrujnowaniem mojéj kieszeni i serca, chciałem powiedzieć, nad jego ukształtceniem, już przeszły w świat zapomnienia; niech będzie lekka ziemia nad grobem ich pamięci.

„Zgoła, zostałem przesycony, do niczego nie zdolny, zupełnie na ciele i umyśle zniszczony. Wszystkie te nauki odebrane od serdecznych przyjaciół tego gatunku i kochanek, może warte były kęsa chleba; lecz ponieważ zjadłem ten, co do mnie należał, a nie jestem do tego stopnia nikczemnym, abym nie mając sił do pracy, kradł chleb przez drugich zarobiony, wolałem więc skończyć raz z życiem, to jest tak, jak na to zasłużyłem.

„Zatem dla tych, którzy zapragną naśladować życie, jakie prowadziłem, załączam tu trzy podarunki, mianowicie:

„1) Moją fotografią wykonaną przed dwoma laty i fotografią zrobioną wczoraj. Z porównania tych portretów przekonają się, jak szybko może być zrujnowane zdrowie najtęższego człowieka.

2) Rachunek moich wydatków, jako Pylada, dla moich niby serdecznych Orestesów.

3) Listy wszystkich moich dam, napisane jednym rytmem, według znanéj piosnki, kończącą się za każdą strofką: daj jeszcze pieniędzy, daj!...

„Byłoby do życzenia, ażeby filantropijne towarzystwa w interesie przyszłych pokoleń potworzyły we wszystkich ludniejszych miastach muzea moralne, na wzór muzeum starożytności i sztuk, gdzieby przechowywano szczątki cielesnie i moralnie upadłych. Oby się moje życzenie ziściło! obym pierwszy położył kamień do dzieła dobroczynnego!

„Nie mając nic więcéj dodać, jako kodycyl go tego testamentu kładę kropkę. Basta!“

W pięć minut potém usłyszano wystrzał!...

W godzinę później pewien pan i pewna dama spotkali się w bramie hotelu, gdzie jeszcze czuć było dziwny zapach prochu.

— Patrz Magdusiu co się stało! rzekł pan do damy.

— Patrz Ludwiku! odpowiedziała.

— Szedłem do Julka.

— I ja także.

— I trzeba być bydlęciem, żeby sobie życie odebrać!

— Jak gdyby nie mógł zaczekać do jutra.

— Taką właśnie zrobiłem sobie uwagę, gdyż chciałem pożyczyć od niego pięćdziesiąt rubli.

— A ja stu — jaki głupiec! teraz wszystko skończone....

P. T.

Skamieniałe ciało.

Przed sześciu laty zmarł niejaki Anglik Ames Broughton w hrabstwie Mayne. Ciało jego odkopano przed kilku miesiącami, ażeby je pogrzebać w grobie familijnym. Gdy wieko odkopanéj trumny uchylono, znaleziono ciało zupełnie skamieniałe, wyglądające jak biały marmur bez żadnego śladu nadpsucia. Gdy Broughton umarł, ważyć około 200 funtów, gdy go odkopano, ważył przeszło 400 funtów.

* * *

Dzikie zwierzęta na wyspie Jawie.

Pewien marynarz hollenderski donosi w swojém sprawozdaniu z Batawii, że rok 1867 dla dzikich zwierząt na Jawie był dobrym rokiem. Tygrysy pożarły w 1866 roku 131 ludzi, a w 1867 roku 148. Krokodyle spożyły około 50, od ukąszenia zmarło 43 ludzi. Rząd płaci za każdego zabitego tygrysa 15 talarów nagrody.

* * *

Chińczycy w Kalifornii.

W całéj Kalifornii żyje do 100 tysięcy Chińczyków, — są to dobrowolni wychodźcy. Są oni pracowici, umiarkowani i posłuszni, w pracach nabierają téj samej wprawy, co Amerykanie. Większa ich część przebywa w San-Francisco. Zawierają tu kontrakty z przedsiębiorcami zwykle na lat pięć, w którym to czasie nie jeden Chińczyk przy trzeźwości i oszczędności uzbiera sobie kapitalik do 100 dolarów. Z tym kapitałem powraca do ojczyzny, do któréj jest szczerze przywiązany, osiedla się w większém mieście i trudni się przemysłem. W opinii swych współobywateli stoi wysoko, jako człowiek, który nie jedno widział i nie jedno słyszał.

Prawa krajowe zachowują, z równą ścisłością trzymają się swych obyczajów i przepisów swéj religii. Sprawiedliwość wymierzają sobie sami, mimo że im tego prawa amerykańskie bronią. Niedawno temu zakopali żywcem jednę z kobiet swoich, przekonaną o złodziejstwo, a policyi nie udało się wykryć sprawców tego okrucieństwa.

* * *

Szarada.

Pierwsze i trzecie pracowitych trzyma,
Drugie i trzecie przedstawia nam zima,
Trzecie i pierwsze w poście nie wzgardzone.
Wszystko: mąż godnie noszący koronę.

(Rozwiązanie szarady w nr. 32: **Wieleń.**)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu F. S. z Ś. Dziękujemy. — Panu Teod. F. w Bruks. Załatwimy. — Panu J. S. w Bor. Nie wzgardzimy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.